

Jacek Kaczmarski - niechciany bard?

W sześćdziesiątą rocznicę urodzin Jacka Kaczmarskiego. Wykład odbył się w Miejskim Centrum Kultury w Żywcu.

Zapis wykładu



Kiedy zastanawiałem się o czym mam Wam powiedzieć, uświadomiłem sobie, że podjąłem się rzeczy niewykonalnej. Mając do dyspozycji trzydzieści minut! Mam mówić o człowieku, jego dziełach czy skomplikowanej osobowości i nałogach; czy może o tym, że został zawłaszczony przez, nazwijmy to, opozycyjną część społeczeństwa, gdy uczyniono z Kaczmarskiego barda Solidarności. Faktu, którego on nigdy nie zaakceptował. Nie da się! - myślałem i ogarniało mnie coraz większe przerażenie, zdałem sobie bowiem sprawę z tego, że owe 30 minut należałoby wypełnić piosenkami Jacka. Czegokolwiek bym nie zrobił, cokolwiek bym nie powiedział, zawsze będzie nie tak. Drogi Jacku, liczę jednak na Twoje ogromne poczucie humoru.

Niechaj wybaczą mi fani Jacka to, co teraz powiem. Nie był wirtuozem gitary, jego teksty odczytywane bez muzyki nie zwalają z nóg i do tego jeszcze maniera śpiewania żywcem ściągnięta z Wysockiego. Jednak wszystkie te elementy połączone w jedno, tworzyły genialną całość. Co zatem sprawiło, że w latach osiemdziesiątych wszyscy znaleźmy piosenki Kaczmarę, jaka tajemnica tkwiła w nich, że wynosiła nas ponad poziomy, wprowadzała w stan (tak przynajmniej było ze mną) nie dającego się wyrazić słowami uniesienia? Odpowiedź w tym przypadku jest prosta - charyzma. Charyzma, czyli jakaś ogromna wewnętrzna moc, prawda, gniew, poczucie doniosłości tego, co się robi.



Jacek odnalazł swoją misję w roku 1974, kiedy znalazł się na koncercie Włodzimierza Wysockiego w warszawskim mieszkaniu reżysera Jerzego Hoffmana. Mówił po latach:

Oglądając go po raz pierwszy "na żywo", uświadomiłem sobie, jakie wrażenie wywołuje twarz, pełna najwyższego wysiłku i ekspresji, kiedy artysta wydobywa z siebie ten niezwykły głos. Pomyślałem sobie: to jest dla mnie rola, ja chcę tak samo przeżywać to, co robię.

Posłuchajcie "Obławy". Jaka ekspresja, jaka moc przekazu, ile w tym tekście odniesień do polskiej tradycji romantycznej. Wszak młode wilczki równie dobrze mogłyby być młodzieżą wileńską poddaną represjom ze strony Nowosilcowa i zamykaną do więzień, zsyłaną na Syberię. Znamy to z "Dziadów" Mickiewicza. "Obława" jest wielką

metaforą! Małe wilczęta nigdy już nie nauczą się polować, zostały rozszarpane w momencie, gdy jeszcze same nie nauczyły się szarpać. Kaczmarski nie przetłumaczył literalnie tekstu Wysockiego. Nie! On napisał własną historię, którą my wszyscy (mówię o Polakach) mamy zapisaną w genach świadomości zbiorowej. Rozumieliśmy ten tekst intuicyjnie, bo artysta i słuchacze posługiwali się jednym kodem.



Pozwolę sobie na osobistą refleksję. Kiedyś robiłem projekt dotyczący robotniczych buntów w PRL-u i zdjęcia z masakry na Wybrzeżu w roku '70 zilustrowałem tą właśnie piosenką Kaczmarskiego. Efekt piorunujący. Młodzi ludzie, którzy ani nie znali twórczości Kaczmarskiego, ani nie interesowali się historią, siedzieli z otwartymi ustami, chłonąc obrazy pałowanych stoczniowców i piosenkę Jacka. Co się stało? Czyżby zostały poruszone archetypy polskiej duszy?

Później Jacek odwoływał się do nich już w sposób świadomy - w pierwszych swoich programach - "Raj" i "Muzeum" .

Po pierwszych sukcesach - myślę tutaj przede wszystkim o Festiwalu Piosenki Studenckiej - Jacek zaczął zdawać sobie sprawę z tego, jaki ma wpływ na słuchaczy. Dlatego później, gdy zdarzało mu się śpiewać dla kilku osób, nigdy nie odpuszczał, nawet gdyby przyszło mu śpiewać dla jednego. Pamiętam taką opowieść Jacka, kiedy mieszkał jeszcze w Niemczech, musiał przyjeżdżać do kraju, bo zarezerwowane było studio. Kaczmarski nienawidził nagrywać w studio, bo twierdził, że nie potrafi śpiewać do ściany. Wywoływało to wiele konfliktów ze współpracownikami, z firmą Pomaton i wpędzało artystę w stany depresyjne.



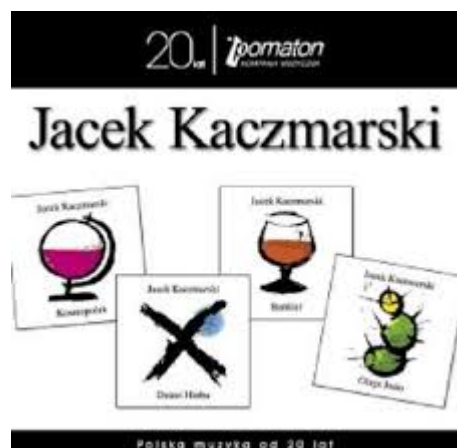
Kaczmarski z całą pewnością był zwierzęciem scenicznym. Jego napędzała energia płynąca z widowni. Żywił się nią, dając z siebie jeszcze więcej. Jego głos, jego gitara, słowa, energia wygenerowana pomiędzy nim a słuchaczami - to wszystko sprawiało, że koncerty Jacka były spektaklami magicznymi. Rodziła się siła, której nikt nie mógł się oprzeć.

Zdarzyło się kiedyś, że Kaczmarski śpiewał dla jakichś bonzów partyjnych (jego pierwsza żona Inka była córką partyjnego działacza). I w momencie, gdy w wykonywanej piosence zapomniał słów (a zdarzało mu się to często), reżimowi działacze suflowali mu, a nawet jeden z nich przyniósł śpiewnik wydany na Zachodzie, a w Polsce objęty cenzurą. Znali na pamięć słowa jego piosenek. To doprawdy zdumiewające, zważywszy na ich treść. Taka była siła przekazu!

Ja byłem po raz pierwszy na koncercie Kaczmarskiego w Krakowie w roku 1990, zaraz po jego przyjeździe do kraju, w którym nie był od roku 1981. Obecni na koncercie, głównie studenci, zgotowali mu owację na stojąco, mimo że w trakcie koncertu Gintrowski stracił głos i program musiał zostać zmodyfikowany. Jacek zaczął koncertować po całym kraju i było to dla niego wyniszczające fizycznie i psychicznie. Trzeba pamiętać, że Kaczmarski niedługo przedtem przechodził terapie antyalkoholowe, które wytrącały go ze zwykłego rytmu pracy.

To zresztą wątek kontrowersyjny i zastanawiałem się, czy go poruszać w tym wykładzie. Jednak zrozumiałem, że

Jacek przecież był żywym człowiekiem. Co więcej, on sam mówił w wywiadach bardzo szczerze – o alkoholizmie, kłopotach rodzinnych, licznych załamaniach. Nie miał dla siebie litości.



Na nałóg Jacka, według mnie, złożyły się dwie zasadnicze przyczyny – samotność i tęsknota. Nie mógł on na zachodzie znaleźć zrozumienia dla swojej twórczości. Przeciętny Niemiec czy Francuz mieli zupełnie inne doświadczenia, inny historyczny genotyp, inne problemy i oczekiwania. Wspominałem już wcześniej, że piosenki Jacka uderzały w polskie archetypy i wymagały takiegoż słuchacza. Owszem, Kaczmarski koncertował dla Polonii, wszędzie witany gorąco, a nawet goręcej, bo doświadczenie emigracji, oddalenia od kraju potęgowały emocje i przekaz. Śpiewał przecież także dla Polonii australijskiej. Mimo tego Kaczmarski odczuwał jakiś istotny brak.

Torturą była praca dla rozgłośni polskiej radia „Wolna Europa”. Nigdy nie pracował na etacie, od godziny do godziny. **Jacek był artystą!** A musiał wstawać wcześniej rano, bo od czwartej zaczynał dyżur. Jechał na stację benzynową o drugiej w nocy po butelkę koniaku, by znieść tortury pracy redakcyjnej. Zdzisław Najder – ówczesny dyrektor radia – wiedział doskonale o uzależnieniu Kaczmarskiego od alkoholu, ale przymykał na to oczy. Kaczmarski wciąż był wszak legendą. Musiał wygłaszać na antenie jakieś felietony o sytuacji politycznej w Polsce, pisać je na czas i, jakby tego było mało, musiał uczestniczyć w redakcyjnych kolegiach, wdroyć się w reżim pracy zespołowej, do której w ogóle się nie nadawał. Jacek był zawsze indywidualistą – w szkole, na studiach (uczył się w systemie indywidualnego toku studiowania), w pracy. Nie może zatem dziwić fakt, że w najbardziej ponurym okresie wypijał nawet 1,5 litra mocnego alkoholu dziennie.

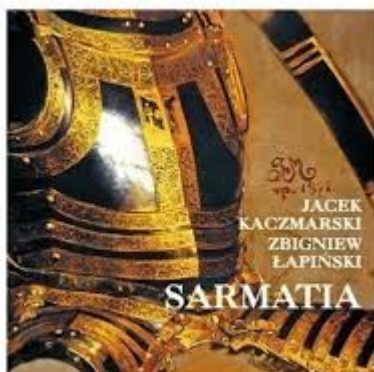


Otrzeźwieniem – nomen omen – okazał się drugi pobyt w klinice odwykowej. Nie był to już, z braku funduszy, luksusowy ośrodek, ale klinika miejska w Monachium. Tam zetknął się nie tylko z alkoholikami, ale też narkomanami. Zdał sobie wówczas sprawę, że jeśli nie przystopuje znajdzie się w takim stanie, jak niektórzy z nich. Nie będzie już ratunku!

W listopadzie 1994 roku Jacek Kaczmarski przyjechał do Żywca. Koncert odbył się w dzisiejszym Miejskim Centrum Kultury. Jacek nie był już tym, którego poznałem w 1990. Był niesłuchanie wycofany, zamknięty i sprawiał wrażenie bardzo samotnego. Do dziś mam przed w oczami obraz Jacka, który siedzi sam na zapleczu przed koncertem i pali papierosa. Widać było, że nie za bardzo odnalazł się realiach nowej Polski. Rozmawiając z nim, nie zdawałem sobie sprawy z faktu, że Jacka już za kilka miesięcy nie będzie w kraju, że przeniesie się na stałe do Australii.

Kaczmarski pozostał na Zachodzie po wprowadzeniu stanu wojennego, czyli na początku lat osiemdziesiątych, wracał, kiedy Polską rządził pierwszy rząd niekomunistyczny. Kraj był inny, słuchacze inni, inna atmosfera. Co prawda Kaczmarski bywał zdumiony, kiedy widownia razem z nim śpiewała piosenki, ale rodzaj energii, który tworzył się między nim a słuchaczami był już zupełnie odmienny. Kaczmarski czuł to podświadomie. Odbiorca, do

którego tęsknił przez całe lata osiemdziesiąte, okazał się manifestacją jego pragnień. Był coraz bardziej zmęczony polskim piekłem polityki, chocholim tańcem wolności, z której nie potrafiliśmy korzystać. Posłuchajcie „Wojny postu z karnawalem” czy „Sarmatii” – ile tam gorzkiej refleksji wynikającej z wpisywania aktualnych doświadczeń w kontekst historii przynoszącej nieustannie klęski, których źródłem jest anarchia, prywatność, zepsucie obyczajów, brak poszanowania dla prawa i wewnętrzna niezgoda.



Może dla kogoś będzie to zbyt daleko posunięta analogia, ale ja osobiście dostrzegam podobieństwo pomiędzy Kaczmarskim a Janem Pawłem II. Początek lat dziewięćdziesiątych – nie chcieliśmy słuchać wtedy ani jednego, ani drugiego. Obaj przypominali, na różny oczywiście sposób, że nie ma wolności bez odpowiedzialności. Obaj wypowiadali trudne prawdy, które na tym etapie, były zwyczajnie passe. Nie byliśmy wtedy przygotowani na przyjmowanie trudnych prawd. Chcieliśmy się cieszyć wolnością, dorabiać się, nawet nieuczciwie. Przecież w końcu mieliśmy kapitalizm i wolny rynek. I Jacek, i Wojtyła przyjechali do Polski z innego świata, próbując nas moralizować. Nie ma, won! Papież wyjechał, kryjąc się w murach Watykanu, Jacek został. Coraz bardziej sfrustrowany, coraz smutniejszy.

Gdy obaj w latach osiemdziesiątych akcentowali potrzebę wolności, byli chciwie słuchani. Ale wolność już była, akcenty trzeba było przestawić.

Paradoks Jacka polega na tym, że będąc bardem wolności, został odrzucony i zlekceważony, gdy wolność ta została odzyskana.

Myślę, że stąd wzięła się decyzja o wyjeździe na Antypody. Jest w tym wyjeździe zresztą coś bardzo symbolicznego, bo przecież dalej już nie można było wyjechać. Kaczmarski znalazł się na antypodach nie tyle w znaczeniu geograficznym, co w znaczeniu psychologicznym. Tworzył wciąż, ale śpiewać przestał. Pisał powieści, razem z córką Patrycją napisał książeczkę dla dzieci. Ale śpiewać przestał. Znalazł w końcu czas dla rodziny, chodził po plaży, bawił się z psem.

Jeśli miałbym metaforycznie zatytułować najważniejsze etapy życia Kaczmarskiego, zrobiłbym to tak:



1. **Poeta wolności**
2. **Poeta pijany**
3. **Poeta odrzucony**
4. **Poeta „zawieszony”**

Pojawia się pytanie, dlaczego wrócił? Myślę, że Kaczmarek nie mógł żyć bez publiczności, nie mógł żyć bez śpiewania. Scena była misją poety, zadaniem i sensem egzystencji. W Australii Jacek żył „dobrze” – w sensie materialnym i etycznym – ale nie żył „prawdziwie”. Sądzę, że to właśnie zrozumiał, wracając do Polski.

Długo jednak nie śpiewał. Opatrzność miała wobec Jacka inne plany. Jego choroba nie pozwalała mu na granie koncertów. Rak gardła być może nie byłby przyczyną śmierci barda, gdyby zgodził się zaraz po rozpoznaniu na wycięcie tkanki nowotworowej. Nie zgodził się na operację, bo chciał śpiewać. Zaryzykował życie, żeby ratować misję swego życia. Próbował Jacek, próbowali jego przyjaciele, organizując zbiórki na leczenie poety. Nie udało się!



Wiem, kim Jacek był dla mnie, wiem, kim był dla mojego pokolenia. Ja mam szczególnie dług wdzięczności, bo Jacek finansował wydanie mojego tomiku poezji. Taki był! Egocentryk, zamknięty w sobie, ale kochany jako artysta.

Nie wiem, kim jest dziś dla młodego pokolenia. Znają „Mury”, ale co poza tym? Mam wielką nadzieję, że nadejdzie renesans twórczości Jacka, bo jego piosenek, jak chcą niektórzy, nie da się zamknąć w jednym okresie. Mają one uniwersalny przekaz, a rosnące zainteresowanie wśród młodych Polaków historią własnego kraju zaowocuje również tym, że odkryją samego poetę i jego piosenki.

Autor: Jan Stasica

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl